

BEATA WOROBIEC

RUBINOWY
KSIĄŻĘ

JEDYNA NADZIEJA W POTĘPIONYCH,
BO TYLKO ONI NIE BOJĄ SIĘ PRZEGRACĆ

WYDAWNICTWO WASPOS

Dla tych wszystkich, którzy czuli się kiedyś niedocenieni.

Nie przejmujcie się – świat jest pełen dupków,

ale na szczęście mamy książki.

Rozdział 1



Czerwona Salamandra

Ludzie to dziwny gatunek. Nigdy nie wiadomo, czego się po nich spodziewać. Nie zabijają dla jedzenia. Częściej dla rozrywki albo władzy. Nie jedzą tylko po to, żeby zaspokoić głód. Zwykle wybierają potrawy, których spożywanie przysparza więcej przyjemności albo pokazuje zamożność jedzącego. Nie ubierają się wygodnie, tylko tak, by wyglądać dobrze, nawet kosztem zdrowia. Większą satysfakcję czerpią z krzywdy innych niż z dogadzania sobie. Tylko w jednym ludzie byli dokładnie tacy jak on – doskonale zapamiętywali tych, którzy zależli im za skórę. Wystarczyło raz nadepnąć purrusowi na ogon, żeby czyszczenie śmierdzących uryną butów stało się poranną rutyną na długie lata. Aby jednak zasłużyć na śmierć...

Kocie ślepie purrusa rozbłysły w żółtawo-zielonym blasku Monaru. Zwierz zwinnie wspiął się na jedną z wyższych gałęzi, żeby zapewnić sobie jak najlepszy widok. Na szczęście zgniły ołtarz otaczało kilka drzew, więc nie musiał długo szukać kryjówki. Małą łapką przyciągnął liście, które w pełni go ukryły. Przygasił futro i obserwował, jak na dole dwóch mężczyzn bez opamiętania bije trzeciego. Takiego o połowę mniejszego, czego akurat można było się po nich spodziewać. Z racji zawansowanego wieku do większego by nie podskoczyli.

Purrus nastawił uszy i pochylił koci łebek, aby przyjrzeć się dokładniej. Zastanawiał się, co takiego zrobił ten mniejszy, że dwaj pozostali postanowili skrócić jego żywot. Pewnie spał na ich posłaniach albo zjadł ich porcję łososia. O tak, za łososia można zabić. Aż obliział się na samą myśl.

– Złodziejski fach robi się ostatnio okrutnie męczący – powiedział jeden z nich.

Ten mniej kędzierzawy, od którego czuć było sardynkami. Po raz kolejny gruchnął w czaszkę chłopaka leżącego u jego stóp. Chrupnięcie kości wywołało na drugim gęsią skórę. Wspólnik objął się rękami i potarł po ramionach. Miał dużo mniej tkanki tłuszczowej i szybciej odczuwał chłód nocy. Z jego głowy wystawało coś, co najlepiej porównać do zapuszczonego bocianiego gniazda. W dodatku takiego spryskanego obficie lakierem, aby przypadkiem któryś strączek nie odstawał w tym samym kierunku, co sąsiedni. Każdy miał odgórny nakaz życia własnym życiem i tworzenia chaosu, którego nie powstydziłby się nawet sam Cień. W dodatku jego nos przypominał trochę dziób. W myślach purrus nazwał go więc Bocianem.

– Ludzie zaczęli się po trzy razy rozglądać i pilnować wszystkiego. Kiedyś wystarczyło dobrze odegrać zderzenie, żeby podwędzić sakiewkę – potwierdził Bocian. Jego siwe wąsy poruszyły się na wietrze, kiedy zaczął kręcić gniazdem i rozglądać się na boki. Z niesmakiem przyglądał się, jak brunatna jucha sączy się z ran martwego przeciwnika. – Ale odkąd smoki znowu stały się zagrożeniem...

– Brednie! Smoki zostały ostatecznie zniszczone cztery lata temu. Nawet jeśli jeszcze jakieś się uchowały, to nie zaatakują przez najbliższe dziesięć lat, bo najnormalniej w świecie jest ich za mało. – Pan Sardynka machnął ręką i zaczął przeglądać kieszenie umarlaka. – Stara przepowiednia mówi, że czas

smoków nastanie dopiero, kiedy nocne niebo rozświetlą miliony świateł. Widzisz na niebie cokolwiek poza Monarem?

Obaj zadarli brody i spojrzeli na stary, dobry Monar, który rozjaśniał mrok nocy.

– Ale jeśli... jeśli jakimś cudem zaatakują... myślisz, że Pan Światła nas obroni?

Sardynka spojrzał na przyjaciela z nietęgą miną.

– Jeśli zaatakują, to nikt nas nie obroni. Cudem wygraliśmy drugą wojnę Ognia i Piasku. I to tylko dlatego, że mieliśmy resztki zasobów Lucyfere. Jej złoża kamieni nas uratowały. Bez nich jesteśmy bezbronni.

– Ale Pan Światła...

– Bez boskiej pomocy nie mamy szans, a odkąd pamiętam, było tylko dwóch bogów. I żaden nie był kamiennokrwistym – powiedział Sardynka. Wrócił do przeszukiwania kieszeni, a po chwili uśmiechnął się do siebie. Ze skrytki w rękawie trupa wyłowił zawiniątko lśniącego zielonym blaskiem. Rozwinął je i zaczął podziwiać szlachetny kamień.

– Skrzekliwy Trandlej da nam za niego co najmniej tysiąc łun – skomentował Bocian.

Purrus uniósł łebek, żeby przyjrzeć się uważniej. To nie mógł być uwit. Turmaliny nie przepuszczały przez siebie światła Monaru. Błyszczały jedynie w blasku Najwyższego. To Pan Światła dawał im moc. Kamień musiał być więc szmaragdem. Jednym z nielicznych, który nie został przejęty przez zakon Szmaragdowych Dziewic. Ze wszystkich berylowców o szmaragdy było najciężej. Dawały siłę, a to wartość, którą imperator nie chciał się dzielić. Ludności wmawiano, że to dla ich bezpieczeństwa wszystkie szmaragdy

zostały zatrzymane przez Szmaragdowe Dziewice. No, ale wmawiano im też, że na Martwej Ziemi żyją nieumarli, że z niekontrolowanego przez zakon seksu rodzą się niepełnosprawne dzieci, a dodawanie ketchupu do pizzy to zbrodnia.

– Jest wart cztery razy tyle! – warknął Sardynka. Wyprostował się gwałtownie i aż coś mu chrupnęło w krzyżu. Skrzywił się i podrapał dłonią po plecach.

– Tysiąc łun to uczciwa cena. Skrzekliwy Trandley bierze na siebie odpowiedzialność za obrót kradzionymi kamieniami. Pamiętaj, że gdyby to wyszło na jaw, nie dożyłby następnego ranka. Ryzykuje życiem.

– A my to nie ryzykujemy? Odwalamy brudną robotę! Za marne tysiąc łun! – Sardynka rzucił kamień do współnika, a sam wyciągnął z kieszeni kawałek brudnego materiału. Splunął na niego, po czym zaczął wycierać krew z cholewy buta, którym wcześniej kopał nieszczęśnika.

– Do podziału na dwóch – przypomniał Bocian. Z uśmiechem przyglądał się szmaradowi. Jego zieleń była niemal hipnotyczna. Napawała spokojem i myślą o pełnym żołądku przez najbliższy miesiąc. Na hulanki w barach też powinno wystarczyć.

– Pieprzeni kamiennokrwieści – zaklął pod nosem Sardynka. – Tylko ich zysk się liczy. Nasza praca jest nieważna.

– Ach, gdyby tak ukraść coś cenniejszego od kamieni... – Bocian rozmarzył się. – Dusiciela, Miecz Sprawiedliwości, Harpun Myśli albo Róg Obfitości. Pomyśl tylko, bylibyśmy ustawieni do końca życia.

Sardynka zmarszczył czoło i spojrzał na kompana z niedowierzaniem.

– Czy tobie belka stropowa na łeb nie spadła? Boskich artefaktów ci się zachciewa? Może jeszcze po Kielich Iznamy do Otchłani pójdziesz?

– Ooo, taki kielich to byłoby coś, nie? Przywrócilibyśmy sobie młodość. Nigdy więcej rwania w stawach i bólu kręgosłupa. Moglibyśmy jeszcze raz napaść na jubilera! Jak za starych, dobrych czasów!

– Ale ty jesteś głupi. Żeby użyć kielicha, potrzeba ofiary z krwi niewinnego serca.

– A od kiedy to dla nas problem?

Spojrzeni po sobie i jednocześnie zaczęli się śmiać.

– Z jego pomocą można wrócić życie umierającemu, a nie tylko młodość. Bylibyśmy panami życia – ciągnął Bocian. – Żadnych ran, żadnych blizn, żadnych plam starczych, żadnych śrub w kolanie.

– Tylko najpierw musielibyśmy dostać się do Otchłani. Wszyscy wiedzą, że Cień trzyma kielich dla siebie.

– To bez sensu. Przecież jako bóg i tak jest już nieśmiertelny. Po kiego grzyba mu kielich?

– Po to, żebyś miał się o co głupio pytać – warknął Sardynka. – Zamiast stać jak widły w gnoju i myśleć o takich durnotach, może lepiej byś mi pomógł? Trzeba go wrzucić do dziury, zanim ktoś zauważy – ponaglił.

Bocian wsunął kamień do kieszeni, złapał trupa za ręce i zaczął ciągnąć go w kierunku grobu. Zupełnie jakby targał worek kartofli. Młody chłopak nie wzbudzał w nim żadnych emocji. Dlaczego miałoby być inaczej? Przecież chodziło o parszywą hienę cmentarną, a nie uczciwego kamiennokrwistego. Nie robili nic złego. Pozbywali się tylko zakał, które okradały groby. Odbieranie im zdobyczy można by uznać wręcz za dobry uczynek. Jeśli już

coś miałoby go niepokoić, to ten drugi gnojek, który uciekł, ale mogli go dorwać innym razem.

Purrus podążał wzrokiem za każdym gestem Bociana. Dotarło do niego, że mordercy dużo wcześniej zaplanowali tę akcję. Za próchniejącym konarem czekał prostokątny wykop, a obok niego spora kupka ziemi.

Co ciekawsze, przez rzekę przemknęły trzy smugi światła, świeże rybki aż tętniły życiem, a to wzbudziło w purrusie pierwotne instynkty. Młode płotki smakowały najlepiej. Dopóki nie złożyły pierwszej ikry i nie przekazały swoich bioluminescencyjnych zdolności potomstwu, świeciły pod wodą niemalże tak mocno, jak Monar. Z tym, że w różnych kolorach. Purrus najbardziej lubił pomarańczowe sardynki. Miały posmak bekonu. Aż oblizał się na myśl o schwytaniu choćby jednej.

– Od tego twojego krzyczenia ciągle boli mnie głowa. Wykop dziurę, wrzuć do dziury, zakop dziurę... – Bocian westchnął.

– Panowie, czy wam tylko dziury w głowach? – zasugerował kobiecy głos.

Purrus zaczął machać łbem we wszystkich kierunkach. Jakim cudem nie zauważył zbliżającego się kamiennokrwistego?! Cholerne instynkty! Cholerne płotki!

Zakapturzona postać zbliżyła się do morderców. Poruszała się ze zwinnością dzikiego zwierzęcia. W jednej chwili była na spróchniałym podeście ołtarza, a w drugiej przy dębie, na którym siedział przyczajony purrus. Zwierzę wstrzymało oddech.

Była purgą? Nie. Poruszała się szybko, ale nie aż tak. Kobieta musiała mieć jednak przewagę, jeśli odważyła się wejść w drogę dwóm mężczyznom.

I to takim, którzy chwilę wcześniej zabili kamiennokrwistego. Czyżby Szmaragdowa Dziewica? Jedno spojrzenie w oczy rozwiałoby wszelkie wątpliwości, ale sprytnie je ukrywała.

– A ty coś za jedna?! – warknął Sardynka.

– Nic nie widziałaś! Tu się nic nie dzieje! – Bocian upuścił zwłoki i zaczął machać rękami. Chwycił ułamaną gałąź, żeby zasłonić nią ciało chłopaka.

– W zaistniałej sytuacji widzę tylko dwa rozwiązania. Albo oddacie mi kamień po dobroci, albo będę musiała was zabić. – Zakapturzona postać mówiła powoli, żeby nawet mniej bystry przeciwnik był w stanie zrozumieć propozycję.

Purrusowi ciężko było ocenić jej szanse. Jeśli była Szmaragdową Dziewicą, to dwaj mordercy mogli pożegnać się z życiem. Z drugiej strony, wszystkie strażniczki imperatora służyły z rozbudowanej postury i wysokiego wzrostu, a zakapturzona postać była raczej przeciętnych kobiecych wymiarów, choć przez płaszcz nie dało się ocenić muskulatury.

– Taka jesteś wyszczekana? To podejdź bliżej! – zachęcał Sardynka. Odrzucił szmatkę na bok i rozsunął dłonie w zapraszającym geście. Jego kompan uśmiechnął się pod wąsem i sięgnął do pasa.

Nim kobieta zdążyła odpowiedzieć, powietrze przecięła świst lecącego w jej kierunku sztyletu. Uskoczyła w ostatnim momencie i ostrze wbiło się w korę dębu. Purrus syknął niepokieszony. Wspiął się kilka gałęzi wyżej, żeby w ferworze walki przypadkiem nie skrócili mu ogona.

Kobieta ukryła się za pniem i powoli wypuściła powietrze z płuc.

– Staralam się załatwić to po dobroci – powiedziała do siebie.

Sytuacja nie prezentowała się najlepiej, ale ona wydawała się przesadnie spokojna.

– No chodź, mała! – zawołał ponownie Sardynka.

Kobieta sięgnęła za poję płaszcz, po czym wychyliła dłoń, w kierunku której w ułamku sekundy powędrowały dwa kolejne sztylety. Gdy tylko przeleciały obok niej, wyskoczyła i cisnęła swoimi ostrzami w Bociana. Mężczyzna obrócił się wokół własnej osi i upadł za konar, kiedy metal ugrzązł w jego ramieniu i udzie.

Sardynka zwątpił w swoją przewagę i czym prędzej uskoczył w bezpieczne miejsce. W takich chwilach pewnie żałował, że nie poświęcił więcej czasu na trening sprawności. Zwykle siła wystarczała mu w walce. Poza karatorami nikt nie dorównywał mu w boju. Zagrożenie mogli stanowić ewentualnie szlachetnie urodzeni kamiennokrwieści, ale oni rzadko kiedy zapuszczali się w dzielnice plebsu. Ich wypiełgnowane nóżęta brzydziły się ociekających ubóstwem ulic, po brzegi wypełnionych żebrakami.

Purrus w napięciu spoglądał w dół. Zakapturzona postać jednym pociągnięciem rozwiązała sznurek, który trzymał pelerynę. Materiał opadł na ziemię i odsłonił szczupłą niewiastę. Połowę jej twarzy przysłaniała biała maska na jedno oko, która wyróżniała się na tle rudych włosów. Zwierzę ścisnęło mocniej gałąź, kiedy rozpoznało atakującą.

Ruda sięgnęła po ostatni sztylet i wyskoczyła. Cisnęła nim w Sardynkę, po czym ruszyła pędem w kierunku Bociana. Niestety źle obliczyła trajektorię lotu i odległość. Nim dobiegła do celu, Sardynka stanął na jej drodze. Zauważył, że została bez broni, a sam wykorzystał okazję do pochwycenia łopaty, którą kilka godzin wcześniej wykopał dół. Czuł, że odzyskał przewagę. Drobne dziewczę nie stanowiło dla niego wyzwania.

– Proszę, proszę... słynna Czerwona Salamandra – powiedział. Wbił łopatę w ziemię i zacisnął pięści, aż wszystkie palce strzeliły mu w stawach.

Dziewczyna wyhamowała na metr przed jego parszywą mordą. Zrobiła krok w tył i ukloniła się grzecznie.

– Będą o mnie śpiewali. – Sardynka wyszczerzył się jeszcze bardziej, ukazując swoje pożółkłe, niepełne uzębienie. – Ballady o Grellu, pogromcy Salamandry.

– Myślał indyk o dniu czerwonej zorzy, a w niebieską łeb mu ucieli karatorzy.

Salamandra z bliska dostrzegła kolor oczu oprycha. Brązowe, bezwartościowe tęczęwki plebsu oznaczały, że nie miał żadnych ukrytych zdolności. Ruda prychnęła i sięgnęła do kieszeni. Nie znalazła w niej jednak tego, czego się spodziewała. Nerwowo obszukała pozostałe skrytki. Ostatnie kawałki uwitu musiały wypaść jej gdzieś po drodze. Kamień co prawda nie dawał tak dużej siły, jak szmaragd, ale dla zielonookiej stanowił nieocenioną wartość. Jego chwilowa moc delikatnemu muśnięciu palcami nadawała siłę ciosu szpadlem. W dodatku można go było używać nocą. Niestety kamienie nie lubiły się z Salamandrą. Ciężko było zliczyć, ile ich już pogubiła albo straciła.

Drab wyszarpnął łopatę z ziemi i zamachnął się w jej kierunku, więc czym prędzej umknęła za powalony konar. Omal nie wpadła do grobu. Zatrzymała się na skraju wykopu i rozłożyła ramiona, żeby złapać równowagę, po czym przeskoczyła na drugą stronę. Czuła na plecach nieświeży, sardynkowy oddech. Grell przymierzył się do skoku i dwoma susami pokonał dzielącą ich odległość. W tym czasie Salamandra zdążyła dotrzeć do drugiego rywala. Miała nadzieję zabrać mu kamień, ale warknięcie Bociana skutecznie

ją odstraszyło. Uśmiechnęła się zadziornie i parodiując miauknięcie, drapnęła powietrze niczym rasowy purrus. W tym czasie Grell zdążył do niej dobiec i zaczęli ganiać się wokół zwalonego drzewa. Oprych stracił w końcu panowanie nad sobą i wskoczył na konar. Gałąź, której się złapał, odskoczyła i uderzyła prosto w głowę Bociana, aż ten jęknął. Rozwścieczony tur nawet nie zwrócił na niego uwagi. Liczyło się tylko to, że stanęli ze sobą twarzą w twarz. On i Salamandra – jego szansa na sławę.

– Tu mnie masz – przyznała.

Podeszła bliżej z rękami uniesionymi w geście poddania. Kiedy Grell zaczynał się uśmiechać, pociągnęła go za cholewę na tyle mocno, że stracił równowagę i wpadł prosto w wykopany przez siebie grób. To nie było do końca czyste zagranie, ale właśnie z takich słynęła. Uczciwa walka była dobra, ale zwycięstwo smakowało lepiej.

Salamandra przebiegła na drugą stronę i schyliła się do Bociana. Wyglądał na nieprzytomnego, a szmaragd, którego tak długo szukała, był na wyciągnięcie ręki.

– Nie tak prędko, sikoreczko. – Mężczyzna nagle otworzył oczy i chwycił ją za dłoń. Fioletowe ślepia przeszywały ją na wylot. Na szczęście jako fioletowooki mógł być zaledwie dawcą. Nie zagrażał jej. Gdyby zdołała go przeciągnąć na swoją stronę, stałby się bardzo użyteczny, ale nie miała na to ani czasu, ani siły. Skupiła się na tym, żeby nie zdążył unieruchomić jej drugiej dłoni. Szarpnęła za sztylet wystający z jego ramienia.

Bocian jęknął przeraźliwie, a dziewczyna, korzystając z rozproszenia, wyrwała się, nim dopadł do niej Grell. Bocian nie zamierzał skapitulować tak szybko. Wyciągnął nogę i wkrótce twarz Salamandry zaliczyła spotkanie pierwszego stopnia z trawą.

Grell dopadł do niej w przeciągu sekundy. Masywnym cielskiem nadepnął na jej kręgosłup i przycisnął do gleby, aby przypadkiem nie wstała. To była jego chwila. Ta jedna na milion, dzięki której mógł stać się sławny.

– Przeceniają cię w opowieściach – powiedział.

Nacisnął na dziewczynę całą masą ciała. Stanął na niej i przeszedł na drugą stronę. Ściągnął nogę, ale za to drugą kopnął ją najpierw w rękę, żeby wypuściła sztylet, a później w brzuch. Zrobił to na tyle mocno, że przejechała po trawie i wylądowała przy Bocianie. To był gest dobrej woli sławnego (wkrótce) wojownika. Przed zabiciem jej postanowił dać staremu druhowi chwilę na prywatną zemstę.

Bocian chwycił ją za gardło i wyciągnął sztylet ze swojego uda tylko po to, żeby wbić go w jej ramię. Nie przejmował się krwotokiem, który wywołał. Swoje rany mógł opatrzyć później. Liczyło się tylko sprawienie bólu dziewczynie. Sama się o to prosiła. Nikt nie kazał jej się wtrącać.

– Przyjemnie, prawda? To się nazywa sprawiedliwość, shalo! – warknął jej do ucha.

Salamandra nie potrafiła w pełni stłumić krzyku, choć nie chciała dawać oprawcom tej przyjemności. Pulsujący ból przeszywał jej ciało. Czuła się odrętwiała i tylko to ciepło, które rozchodziło się od rany, zdawało się utrzymywać jej przytomność.

– Mówiłem, że będą o mnie śpiewać – przypomniał Grell. – Ale najpierw sprawdzmy, czy choć część plotek na twój temat pokrywa się z prawdą. Nachylił się nad dziewczyną i sięgnął brudnymi paluchami do jej śnieżnobiałej maski.

To było misterne dzieło – wykonane ze stopu metali pokrytego koronką. Mocne, a jednocześnie lekkie i delikatne. O tym, co kryło się pod maską, krążyły legendy. Każdy chciał znać tajemnicę dziewczyny z wytatuowaną na szyi czerwoną salamandrą. Mawiali, że pod maską skrywa łuski, bo jest potomkiem smoka. Podobno kiedy się wściekała, jej język się rozdwajał, a z gardła buchał ogień.

To nie mógł być koniec. Jeszcze nie teraz. Legendarna Czerwona Salamandra nie mogła zginąć z rąk podstarzałych oprychów. Jej myśli krążyły jak obłąkane, ale żadne rozwiązanie nie chciało się pojawić. Jak to zwykle bywa przed śmiercią, całe życie przeleciało jej przed oczami. Na szczęście tyle razy już widziała ten film, że przestała zwracać na niego uwagę.

Kręgosłup ją bolał, a rana pulsowała. W dodatku Bocian pstryknął w rękojęść sztyletu, co wywołało wibrację ostrza wbitego w skórę. Piekło i rozrywało ją od środka. Zacisnęła zęby, spodziewając się jeszcze większego bólu, ale ku swojemu zaskoczeniu odkryła, że nie jest to aż tak straszne, jak sobie wyobrażała. Owszem, pobolevało, ale raczej na poziomie drzazgi w palcu, a nie poważnej rany. Wtedy do niej dotarło. To nie ból tak pulsował. To szmaragd! Był blisko! Jego moc wyczuwała nawet przez płaszcz Bociana. Kiedy przymknęła oczy, pod powiekami pojawił się zielony blask. Pulsujące wibracje, które dodawały jej sił. Dawca mógł czerpać moc szmaragdu, ale nie potrafił jej wykorzystać. Ona zaś wiedziała, że kradzież jego mocy sprawi wiele bólu im obojgu. W dodatku, jeśli karatorzy byli w pobliżu, mogła ściągnąć na siebie ich uwagę, ale nie miała wyboru. Wiedziała, co musi zrobić.

Nim Grell zdążył zerwać jej maskę, wyszarpnęła sztylet ze swojego ramienia. Cięła mężczyznę po twarzy i znienacka kopnęła między nogi. Pisnął, a ona obróciła się i przesunęła ostrzem po boku Bociana. Dziura, która powstała dokładnie na kieszeni, sprawiła, że szmaragd wypadł na jej rękę, a na

jego miejscu pojawiła się czerwona plama. Salamandra odczekała, aż kilka kropli skapnie na kamień. To musiało wystarczyć, bo Grell otrząsnął się z szoku i warczał coraz głośniejsze. Był gotowy do ataku, więc dziewczyna zrobiła parę szybkich wydechów, ścisnęła powieki i zlizwała krew z kamienia. Jej metaliczny posmak palił ją w przełyk jak czysty spirytus, ale była to zaledwie zapowiedź. Ścisnęła mocniej szmaragd. Musiała ukraść energię dawcy, a to wiązało się z rozpaleniem organizmu, który odrzucał nieznana krew. Zaczynał produkować przeciwciała w szalonym tempie, przez co opadał z sił. W dodatku jeśli ktoś czerpał moc od dawcy wbrew jego woli, to przepływ stawał się cholernie bolesny.

Salamandra zasyczała. Starła się wmówić sobie, że ogień, który pożerał ją od środka, to nic strasznego. Miał tylko dodać jej sił. Kilka sekund i po sprawie. Nieistotne, że sekunda ciągnie się jak godzina, kiedy się cierpi. Ważne, że cierpienie w końcu ustanie.

Bocian znał to uczucie tylko w teorii. Nigdy wcześniej nikt nie kradł jego mocy. Przez większość życia zapominał, że w ogóle ją magazynuje. Kręcił się wokół rzezimieszków i innych drobnych złodziejasków. Osób, które miały brązowe oczy i nie mogły kraść niczyjej mocy. Kiedy niespodziewanie rana na żebrach zaczęła się rozciągać, jakby ktoś wyrwał mu wnętrzności, nie potrafił powstrzymać krzyku. Zawył tak przeraźliwie, że nawet wilki biłyby mu brawo. Tymczasem zielone oczy jego rywalki rozbłysnęły. Salamandra podniosła się i jednym ciosem sprawiła, że Grell wbił się w konar i już nie wstał.

Spojrzała z żądzą mordy na Bociana. Szarpnęła go za fraki i uniosła w powietrze. Kamień powoli przestawał działać, ale nie chciała dać po sobie poznać, że traci siły. W geście wielkiej litości postawiła mężczyznę przed sobą. Wsunęła kamień do kieszeni i podniosła sztylet do jego gardła.

– Czekaj! Nie zabijaj mnie – poprosił. – Znam twój sekret!

– Marny tekst na ostatnie słowa. Wypisać ci je na nagrobku?

– Jesteś Czerwoną Salamandrą, Liźniętą Ogniem. Wiem, czego szukasz!

– Zabierzesz ten sekret do grobu. – Salamandra przyłożyła sztylet do jego gardła.

– Kielich Iznamy da ci wieczną sławę. I młodość! Nie udawaj, że jej nie pragniesz.

– Czy ty mi delikatnie sugerujesz, że wyglądam staro? – Ruda zmarszczyła brwi i szarpnęła Bociana.

– Czekaj! Oszczędź mi życie, a powiem ci, co jest potrzebne do rytuału!

– Masz dziesięć sekund, żeby mnie zainteresować.

– Wiem, że potrzebujesz syckiego światła – powiedział. Salamandra zmarszczyła brwi. Oczekiwała wyjaśnień. – To błyszczący piasek, który obsypywał się ze skóry Lucyfere.

– Wiem, czym jest światło, baranie. Oświeć mnie, gdzie je znaleźć, skoro święta Lucy nas opuściła, a Pan Światła pilnie strzeże swoich zapasów.

– Doszły mnie słuchy, że Alatyr Garivaldo był w posiadaniu niewielkiej ilości.

– A gdzie znaleźć Alatyra?

– Tego nie wiem. – Bocian wzruszył ramionami. W kącikach jego ust zaczął błąkać się uśmiech.

Zarówno on, jak i purrus siedzący na drzewie doskonale wiedzieli, skąd radość u osoby, która teoretycznie była już martwa. Zajmująca rozmowa była jednym z prostszych sposobów na rozproszenie uwagi.

Salamandra poczuła chłód metalu przy swoim gardle. Ironia losu w momencie, kiedy jej jedyne ostrze dotykało innego gardła. Powoli odwróciła głowę, żeby za swoimi plecami odkryć cały oddział karatorów. Musieli zauważyć, jak kradła moc, a teraz na własne oczy widzieli, że używała kamienia.

Cholera, niedobrze – pomyślała.

– Może nie wyjdę z tego cały, ale ty też zginiesz. – Bocian nie potrafił dłużej ukrywać uśmiechu.

Salamandra upuściła sztylet. Podobnie jak wcześniej uniosła dłonie w geście poddania i odwróciła się powolutku.

– Proszę, proszę. Czyżby to była słynna Czerwona Salamandra? – zapytał młody kapitan. Zlustrował salamandrę wytatuowaną na szyi, a później spojrzał właścicielowi głęboko w oczy. Próbował zbudować atmosferę grozy, aby ta niezręczna cisza jeszcze bardziej ją przestraszyła.

To sprawiło jednak wyłącznie tyle, że jego alergia dała o sobie znać i zatkała mu zatoki. Pociągnął nosem, a Salamandra wykorzystała ten moment, aby odepchnąć jego ostrze. Raniąc dotkliwie dłoń, uniknęła boleśniejszych obrażeń. Gdyby nie szmaragd, pewnie odcięłaby sobie przy tym palec. Jego moc dawała koksom siłę i wzmacniała ich ciała. Kości stawały się twardsze od skały, a mięśnie bardziej sprężyste. Niestety ostrza karatorów były w stanie przeciąć nawet najtwardszą skórę. To, czego dokonała, wielu nazwałoby cudem. Zresztą nie pierwszy raz. Rzeczy niewykonalne załatwiała od ręki, na cuda potrzebowała kilku chwil.

Musiała myśleć szybko. Wśród szarych mundurów zlokalizowała dwie purgi. One stanowiły największe zagrożenie, bo dzięki swojej szybkości mogłyby ją złapać w przeciągu kilku sekund. Korzystając z chwili

rozproszenia, ścisnęła szmaragd. Została jej resztką mocy. Jeden cios, nie więcej. Musiała się oszczędzać. Cisnęła sztyletem w kolano jednej. Druga podbiegła do niej w ułamku sekundy. Prędkość nie rekompensowała jednak siły. Salamandra chwyciła ją za dłoń i wykorzystując szmaragd, rzuciła ciałem w kapitana. Oboje się przewrócili, a trzech innych ruszyło im z pomocą.

– Następnym razem musicie się bardziej postarać, misiaczki. Tymczasem opowiedzcie wszystkim, jak spotkaliście wspaniałą Czerwoną Salamandrę – poleciła. Uderzyła Bociana łokciem w brzuch i puściła się pędem w kierunku miasta.

Chwilę później cały oddział podążył za nią.

Źrenice purrusa powoli wracały do standardowych rozmiarów. Oblizął się, obserwując pogoń. To była udana wyprawa. Zdobył informacje, po które został posłany, a przy okazji trafił na takie ciekawostki! Liźnięta Ogniem, szmaragd i sypanie światła. To była akcja, o której na pewno będzie chciał się dowiedzieć jego właściciel.



Altin było miastem we wschodniej części Żywej Ziemi. Słynęło z licznych jezior i zielonych terenów, które urozmaicały przybytki nędzy i rozpacz. Jeśli chciałoby się do czegoś je porównać, to najlepiej do zadbanego ogrodu, kuszącego zielenią i spokojem. Dopiero po wejściu przybysz odkrywał, że na każdej roślinie czai się zgraja żądnych krwi insektów.

W samym centrum znajdował się zamek wielkiego jublera Oxomoco, a wokół niego kilka posiadłości kamiennokrwistych – potomków bogini Lucyferę, którzy we krwi mieli drobinki kamieni szlachetnych. Czyniło ich to

lepszymi, ponieważ mogli używać mocy. Dalszy krąg tworzyły rody, które wypadły z łask (roztrwoniły majątek i za wszelką cenę starały się odzyskać dobre imię) oraz więksi handlarze. Resztę stanowiło proste mieszczaństwo przemieszane z bogatszymi rodzinami rzeźników i piekarzy, a także skrajnie biednymi rzemieślnikami. Wszyscy oni byli jednak traktowani na równi z żebrakami. Gorszy los spotykał jedynie hexów – bękartów kamiennokrwistych, którzy parali się przepowiedniami i magicznymi sztuczkami. Mało kto przechodził koło nich obojętnie. Nawet kwiaciarz potrafił napluć takiemu w twarz. Każdy hex wiedział, że jest na dnie, ale dno mogło się załamać. Mógł w końcu urodzić się heterochromem.

Taki na przykład Avalon żałował czasami, że nie jest hexem i dziękował Lucy, że matka wyblagała dla niego pracę w jednej z najpiękniejszych posiadłości w mieście. Narajanowie co prawda nie byli kamiennokrwistymi, ale mogli pochwalić się jedną z najlepiej utrzymanych działek. Parali się rzeźnictwem, więc społeczność Altin traktowała ich jak żywicieli. Wszyscy mieszczaństwo zdawali sobie sprawę, że umarliby z głodu, gdyby nie Ezufrý Narajana. Praca u niego była traktowana jak czyn społeczny. Podobnie zresztą za nią płacono. Oxomoco przyznał rzeźnikowi najrozleglejszą działkę i największą ilość pracowników. Wśród świeckiej gawiedzi Narajanowie lśnili przykładem – pokoje zawsze mieli wysprzątane na błysk i gotowe na niespodziewanych gości, a ogród przyszyty tak równo, że sprawiał wrażenie koszonego w każdą stronę świata i poprawianego nożyczkami do paznokci. Nie żeby którykolwiek z członków rodu zajmował się tak przyziemnymi sprawami. Mieli od tego wierną służbę – w tym Avalona. Syn służącej pracował u nich, odkąd nauczył się chodzić. Doił krowy, wypasał owce, czyścił konie i karmił świnię. Nie bał się żadnej pracy, a z biegiem lat potrafił coraz więcej. Posiadłość znał jak własną kieszeń, dlatego zdziwił się, kiedy niespodziewanie w środku nocy wyrósł przed nim słup.

Avalon odbił się od przeszkody i upadł, wypuszczając kwiaty. Kamienie, które miał w torbie, okazały się słabą amortyzacją, bo tyłek zabolął go niemiłosiernie. W dodatku wszystko się wysypało, a drążek łopaty zaczepionej na plecach uderzył go w kark. Jakby mało miał przygód tej nocy.

– Uważaj, jak łazisz! – Usłyszał od... słupa?

Słupa o kobiecym głosie. I ciele kobiety. Całkiem szczupłym i kształtnym ciele. Mimo mroku widział ponętne zarysy, uwydatnione satynowym gorsetem wzmacnianym plecionką ze stali.

– Kim jesteś? – zapytał, a dziewczyna wypięła pierś, podparła się pod boki i uśmiechnęła szeroko.

Avalon zmarszczył brwi. Ruda przesunęła dłonią po włosach, jakby chciała, żeby zauważył ich kolor, ale zdawało się, że nie zrozumiał tego, co zamierzała mu przekazać. Większą uwagę zwrócił na to, że palce miała owinięte prowizorycznym opatrunkiem z czarnego materiału. Przypadkowo podobnego fragmentu brakowało przy rąbku jej niemoralnie krótkiej spódnicy.

– Nieważne. – Westchnęła zrezygnowana. Wyciągnęła dłoń i pomogła mu wstać. Rzadko zdarzało się, żeby ktoś jej nie rozpoznał. Taką ignorancję należało uczcić przynajmniej drobną grzecznością, choć chłopak do tego nie zachęcał.

Niejednokrotnie zadawała się z szumowinami, ale zawsze podświadomie odrzucało ją od ludzi, którzy nie dbali o dłonie. Ignorant miał zapuszczone łapska. Czarne od ziemi, jakby brakowało mu narzędzi, czemu z kolei przeczyła łopata na plecach.

– Pracownik fizyczny?

– Zajmuję się zwierzętami – odpowiedział. Szybko zabrał dłoń i spuścił wzrok. Rozpiął mankiety i przez materiał koszuli zaczął zbierać rozsypane kamienie. Żaden z nich nie świecił w blasku Monaru, co oznaczało, że przechowywał zwykłe turmaliny. Kilka z nich było zielonych. Uwity zawsze mogły się przydać zielonookim, a to sprawiło, że Salamandra zaczęła się uważniej przyglądać chłopakowi. Był heterochromem – jedno oko miał niebieskie, a drugie szarawe. Ludzie jego pokroju byli uważani za nieuleczalnie chorych. Zwykle wydawano ich ze społeczeństwa. Byli żebrakami albo złodziejami. Nikt im nie ufał. Nikt im nie wierzył. Pierwszy Pan Światła w jednym ze swoich dekrétów zabronił heterochromom zbliżania się do kamieni szlachetnych. Ich zainfekowana krew kompletnie niszczyła strukturę kruszcu, przez co stawał się bezużyteczny jak gład.

Chłopak miał sporą kolekcję jak na wyrzutka.

– Zajmujesz się zwierzętami... w nocy? – zapytała.

– A ty spóźniłaś się na zwiedzanie posiadłości Narajanów za dnia?

Salamandra uniosła brew i spojrzała na niego z uznaniem. Nie spodziewała się ciętego języka u parobka. Mimo to schyliła się i chwyciła trzy uwity. Avalon złapał ją za nadgarstek.

– Tobie i tak się nie przydadzą – wytłumaczyła.

– To nie znaczy, że masz do nich prawo.

– Słuchaj, blondasku, zawrzemy układ. Ty dasz mi te trzy malutkie, niewinne kamyki, a ja nie powiem nikomu, że sypiasz z córką rzeźnika – zaproponowała.

Chłopak automatycznie cofnął się o dwa kroki i nawet w mroku nocy było widać, jak bardzo spłoszował.

– Nie śpiam z panienką Miłą!

– Ale chciałbyś, prawda? – Salamandra uśmiechnęła się szeroko. Wsunęła kamienie do kieszeni. – Mnie nie oszukasz. Środek nocy, kwiaty... tylko rąk zapomniałeś umyć. No i tej łopaty jeszcze nie rozgryzłam. Robisz podkop do jej serca?

– Chciałem tylko... położyć kilka róż na jej oknie – przyznał w końcu i ponownie spuścił wzrok. Policzki wciąż miał czerwone. – Nigdy bym nie... panienka Miła by nie... nigdy nie naraziłbym jej honoru.

– Och, romantyk! – Ruda przycisnęła dłoń do piersi i pisnęła. – Żeby mnie się taki kiedyś trafił! Kopnęła niebieski turmalin, który przeleciał kilka metrów i z brzdękiem odbił się od wiadra.

– Przestań! – Avalon złożył ręce w błagalnym geście. – Jeśli obudzisz pana Narajanę...

– Nie, nie, nie... tego byśmy nie chcieli. Co by powiedział o nocnych wycieczkach chłopca stajennego do jego córeczki! Ach, miłość... piękna głupota.

– Miłość to nie głupota – odpowiedział i zaczął zbierać rozrzucone róże.

– A znasz kogoś, kto z miłości zrobił coś mądrego, kochasiu? Ty na przykład z miłości powiesz mi teraz, gdzie mogę się ukryć. Potrzebuję noclegu. Może być sterta siana. Możesz się nawet w tej stercie położyć razem ze mną. W ramach wyjątku nie przeszkadzają mi nawet twoje brudne ręce. – Salamandra podeszła bliżej i pogłaskała chłopaka po policzku, ale szybko odtrącił jej dłoń.

– Zwariowałaś? Dlaczego miałbym pomagać złodziejce? – Avalon pociągnął za materiał zawinięty na jej dłoni i odkrył pamiątkę po karatorach. Rana na ramieniu również nie uszła jego uwadze.

Salamandra ścisnęła pięść i syknęła. Wyrwała mu prowizoryczny opatrunek i owinęła ranę.

– Myślisz, że nie wiem, kim jesteś? – zapytał. – Może prosty ze mnie parobek, ale do stodoły też docierają opowieści o Czerwonej Salamandrze. Jedynej kobiecie, która nawet Rubinowemu Księciu złoty ząb potrafiła ukraść.

– Nie ukradłam go, tylko... znalazłam. To w ogóle była zabawna historia. – Dziewczyna nagle się ożywiła. Język ją swędział. Już dawno nie miała okazji poopowiadać komuś o swoich dokonaniach. Podczas wspominków nawet rany jakoś mniej bolały, choć z trudem ukrywała, że była na skraju omdlenia i kolana miała jak z waty.

– Nie obchodzi mnie to. – Uciął. – Jesteś złodziejką. Nie pomogę ci.

– Pomożesz. Wiesz dlaczego? Bo sam nie jesteś lepszy – odpowiedziała.

– No i jeśli tego nie zrobisz, to wpadniesz w tarapaty.

Salamandra chwyciła kolejny kamień i wymierzyła w metalowe wiadro. Obraz troił jej się przed oczami, więc rzuciła na oślep i uśmiechnęła się triumfalnie, kiedy usłyszała brzdęk. Z kolei Avalonowi niemal serce podskoczyło do gardła, bo zobaczył zapalające się w rezydencji światło.

– Szybko! – Złapał dziewczynę za rękę i pociągnął w kierunku stodoły.

– Wiedziałam, że dasz się namówić na to siano. – Salamandra śmiała się pod nosem. Avalon przyłożył jej dłoń do ust i kazał się uciszyć. Odsunęła jego palce i śmiała się dalej, ale wtedy wykorzystał mięśnie wyrobione podczas rąbania drewna. Przycisnął ją do ściany i raz jeszcze zatkał usta. Ich

spojrzenia się spotkały. Ruda nareszcie się uspokoiła. Lubiła takie chwile. Rosło napięcie, a powietrze gęstniało. Dla niej presja zbliżenia z nieznajomym była niczym, ale dla chłopca stajennego... to zupełnie inna sprawa. Wystarczyło odczekać, aż chłopak się rozkojarzy i spuści wzrok. Uderzyła go w dłoń i szarpnęła za biodra tak, że teraz to on wylądował przyciśnięty do ściany. Przeszło jej przez myśl, że właściwie pachniał całkiem ładnie jak na parobka, a do tego miał pełne uzębienie, co nieczęsto się zdarzało w tych rejonach.

– Nigdy nie każ kobiecie siedzieć cicho. Zwłaszcza rudej – wymruczała.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytał niepewnie. Nigdy wcześniej nie był tak blisko z kobietą. Co prawda zdarzyło się kilka razy, że jedna z córek kucharki pokazała mu biust, a druga niby przypadkiem podwijając przy nim sukienkę, ale żadna nie zachowywała się tak, jak ta ruda nieznajoma.

– Ciiii... – Przyłożyła palec do jego ust.

Obok stodoły słychać było kroki rzeźnika. Właśnie tłumaczył pustej przestrzeni, co robi z włamywaczem, jak tylko go znajdzie. Wspominał o tym, co mu wyrwie i co gdzie wsadzi. Nie brzmiało to na zapowiedź przyjemności.

Ruda patrzyła chłopakowi w oczy. Aż za dobrze wiedziała, jak jej zielone spojrzenie działało na mężczyzn. Zielonookich kobiet nie sposób spotkać w mieście. Już za młodu większość była werbowana do zakonu Szmaragdowych Dziewic i poddawana praniu mózgu. Te, które się nie nadawały albo załamywały podczas szkolenia, były niezwłocznie mordowane. To czyniło Salamandrę jeszcze bardziej wyjątkową. Krążyły legendy o tym, dlaczego nie jest jedną ze strażniczek Pana Światła. Jedna z nich opowiadała o spektakularnej ucieczce z zakonu. Po przejściu przez niezliczoną ilość języków jej wersje różniły się diametralnie. Czasami słyszało się, że

Salamandra zaczęła ziać ogniem i wypaliła sobie wyjście. Innym razem spowodowała powódź i wypłynęła ponad murami zakonu. Kolejna wersja zakładała, że przekupiła stado gołębi, które przefrunęły z nią nad murami. Ciężko stwierdzić, która z nich była prawdziwa.

Salamandra przysunęła twarz, a Avalon zeszywniał. Z wrażenia znowu upuścił różę. Zamurowało go. Nie potrafił nawet ruszyć ręką. Obserwował tylko, jak kobieta przesuwając dłońmi po jego ramionach, dotyka torsu i sunie w dół. Zmrużył oczy, przeszedł go dreszcz, a Salamandra zaśmiała się pod nosem. Dała mu całusa w policzek i zostawiła czerwony ślad po szmince. Odsunęła się i włożyła dłonie za pasek.

– Nie wiedziałam, że jesteś aż tak delikatny.

– Cicho, proszę – wyszeptał. Czuł się zażenowany i przerażony jednocześnie. Ta kobieta... O rany. A pan Narajana...? O rany!

W czasie, kiedy Avalon próbował uspokoić myśli, Salamandra jedną ręką wrzuciła do ust zielony kamień, który wcześniej mu zabrała, a drugą chwyciła za sztylet i wbiła go chłopakowi w bok.

Na początku pomyślał, że to już koniec. Zabiła go. Sekundę później odkrył, że śmierć go nie zabolą. Przesunął po swoim ciele i zrozumiał, że ostrze wbiło się w drewno. Przeszyło na wylot bok koszuli, a jego przygwoździło do ściany.

– Wybacz, muszę czymś go zająć. Słyszał hałas. Jeśli nikogo nie znajdzie, to zacznie budzić pracowników i do rana będą pilnowali przybytku. Zresztą i tak by nam nie wyszło. Jesteś zbyt wrażliwy, a ja lubię silnych mężczyzn. – Puściła do niego oczko. Uderzyła pięścią w ścianę, aż cała stodoła zatrzęszczała.

Avalon bezradnie obserwował, jak Salamandra odbiega i zatacza się kilkakrotnie. Zaczął szarpać za sztylet, jak tylko zniknęła z jego pola widzenia. Uwięziła go! Wykorzystała jak przynętę! A teraz miał przez nią poważne kłopoty. Szarpał tak mocno, jak tylko potrafił, ale sztylet ani drgnął. W końcu zaczął uprawiać dziwny rodzaj gimnastyki, żeby wydostać się z koszuli i jak najszybciej się uwolnić. Odetchnął z ulgą, kiedy mu się to udało. Niestety właśnie wtedy drzwi stodoły otworzył pan Narajana.

Rosły mężczyzna pomimo zaawansowanego wieku ociekał wigorem. Kiedy zobaczył półnagiego chłopaka z czerwonym całusem na policzku, a obok niego kwiaty, to szpakowate włosy stanęły mu dęba. Dopiero w tym momencie do Avalona dotarło, jak głęboko w dupie się znalazł. Służbie nie wolno było używać kosmetyków, więc czerwony całus wskazywał na kogoś wyżej urodzonego. W tym domu były tylko trzy kobiety, które mogły go zostawić – pani Narajana albo jedna z jej córek. W każdym z trzech przypadków Avalon miał przesrane. Pan Narajana z pewnością nie uwierzyłby w bajkę o rudej złodziejce, która wdarła się na teren posiadłości, zaciągnęła go do stodoły i przybiła do ściany.

– Avalon? W moim domu?! – Pan Narajana spiorunował chłopaka wzrokiem.

Nie było miło, ale i tak spotkał go lepszy los niż cios siekierą, który rzeźnik obiecywał chwilę wcześniej. Tymczasem Salamandra podążyła ciemnymi korytarzami w kierunku piwnicy. Ledwo trzymała się na nogach. Rozgryzła ostatni uwit, żeby nie upaść. Krew sączyła się z rany i skutecznie ją osłabiała. Na szczęście nos miała niezawodny i tym sposobem udało jej się namierzyć winiarnię. Przy ścianie znajdowało się kilka drewnianych beczek, a obok nich stała piękna, ręcznie rzeźbiona szafka z zakorkowanymi butelkami.

Salamandra poczuła, że jest w raju. Sięgnęła do jednej z niższych półek i odkorkowała butelkę. Pociągnęła dużego łyka i z jękiem rozkoszy osunęła się na podłogę. W towarzystwie takich roczników nie potrzebowała nawet siana. Wyciągnęła z kieszeni szmaragd i przyglądała się, jak lśni w delikatnym blasku Monaru, który wpadał przez małą szczelinę okienną. Świecił coraz słabiej, a to oznaczało, że wkrótce miał nadejść nowy dzień. Wraz z nim szmaragd napelni się nową mocą i znów stanie się śmiertelną bronią w rękach zielonookiej.

– Jeszcze kilka chwil, mój malutki – powiedziała do niego. – Jeszcze kilka chwil i już nigdy nie będę czuła się słaba.



Wraz z poranną zorzą wstała również Sephora. Jej białe włosy i jasna skóra zabarwiły się pod wpływem światła wpadającego przez okiennice. Niebo rozbłysło zielenią, jak w każdy drugi dzień tygodnia. Kolory zórz powtarzały się regularnie. Najpierw biała, później zielona, fioletowa, żółta, niebieska i czerwona. Ostatniego dnia tygodnia zorza się nie pojawiała. Był to dzień życia. Rośliny wtedy rosły najlepiej, a plony były najobfitsze. Przez sześć dni należało pracować, a siódmego zbierać owoce swojej pracy, bawić się i odpoczywać.

Dziewczyna rozejrzała się po sypialni. Sąsiednie łóżko było starannie zasłane, choć Mila była raczej niechlujna. Zwykle po przebudzeniu zostawiała barłóg, którym zajmowała się któraś z pokojówek. Inna sprawa, że przed południem raczej ciężko było ją spotkać na nogach. W chwilach, kiedy Sephora szykowała śniadanie i pomagała ojcu w przeglądzie zwierzyny, Mila jeszcze słodko chrapała. Nie czuła nawet cienia presji, by się starać, bo i tak to

starsza siostra zawsze uchodziła za wzór cnót. To w niej ludzie widzieli szansę na powrót ukochanego bóstwa. Szarooka była bowiem uważana za diamentowego potomka bogini Lucyfere – osobę, która w prostej linii dziedziczyła moc. Choć złoża diamentów kompletnie zanikły wraz ze zniknięciem świętej Lucy, ludzie wierzyli, że jeden z jej potomków przywróci porządek i doprowadzi do powrotu „Tej, która niosła światło”. Dziedziczka rodu Narajana, choć nie miała możliwości, by potwierdzić swoje zdolności, była lubiana w towarzystwie i zapraszana na uroczystości organizowane wyłącznie dla wysoko urodzonych kamiennokrwistych. Swoim zaangażowaniem podnosiła status całej rodziny.

W poszukiwaniu siostry Sephora wyjrzała przez okno, ale nie dostrzegła niczego niepokojącego. W pośpiechu zrzuciła koszulę nocną i ubrała dzienną sukienkę, którą przewiązała fartuszkiem. Chwyciła niebieską wstążkę i związała włosy, przemierzając po cichu korytarze. Im bliżej wyjścia na ogród była, tym wyraźniej słyszała czyjeś szepty. Przyspieszyła kroku. Chichoty siostry rozpoznałaby wszędzie.

Mila stała oparta o ścianę, a obok niej nachylał się wysoki mężczyzna w sile wieku. Miał na sobie granatowy frak i szare spodnie. Podpierał się na lasce uwieńczonej kryształem fioletowego morganitu.

– Mila! Gdzieś ty była?

– Seph, ale mnie przestraszyłaś! – Dziewczyna westchnęła teatralnie i przyłożyła dłoń do serca.

– Jak ojciec się dowie...

– Mam nadzieję, że mu nie powiesz. Niech to będzie nasza tajemnica, proszę. Nie mogłam spać, więc poszłam nad jezioro. Miałam ochotę się

wykąpać – tłumaczyła siostra. Zrobiła słodkie oczka, ale na Sephorę ten chwyt przestał działać już dawno temu.

– Wykąpać? W nocy? Mila, przecież wszyscy wiedzą, że kiedy gaśnie Monar, z Otchłani wyłazą mgielne wilki. Coś mogło ci się stać!

– Na całym świecie żyje tylko siedem mgielnych wilków. Skąd pomyśł, że jeden z nich miałby się znaleźć akurat w Altin?

– Mila, ojciec by się załamał, gdyby coś ci się...

– Ale nic się nie stało. – Ucieła. – Nar... znaczy... pan Tweardy mnie odprowadził i zadbał o moje bezpieczeństwo.

Mężczyzna uznał za stosowne, by się przedstawić. Zakręcił węża i wyciągnął dłoń w kierunku naburmuszonej nastolatki. Choć Sephora była uznawana za dojrzałą jak na swój wiek, to miała jednak dopiero siedemnaście lat. Zdarzały jej się chwile, kiedy zapominała o manierach.

– Narco Tweardy. Miło mi poznać, panienko.

Sephora nie odpowiedziała. Jakaś część niej chciała chociaż dygnąć, ale powstrzymała się i nie zaszczyliła mężczyzny ani jedną uprzejmością.

– Żegnam, panie Tweardy. Mam nadzieję, że znajdzie pan wyjście – rzuciła oschle i chwyciła siostrę za ramię. Poczuła, że kosmyki jej czarnych włosów są jeszcze wilgotne. Nie mogła uwierzyć, że Mila naprawdę poszła się kąpać w jeziorze w środku nocy. O większej głupocie już dawno nie słyszała.

– Mila, jak mogłaś zrobić coś takiego ojcu? – zapytała, kiedy ciągnęła siostrę korytarzem.

– Nic nie zrobiłam.

– Wyłazisz w nocy, jakbyś sama prosiła się o guza. Mam dość martwienia się o ciebie. Co ci odbiło?

– Ja tylko...

Zwierzenia przerwało stuknięcie szkła.

– Cii! – Sephora uciszyła siostrę, kiedy je usłyszała.

Coś jakby butelka uderzyła o kamień. To wywołało niepokój w obu siostrach. Przechodziły akurat koło winiarni, więc w ich głowach pojawiły się dwie możliwości. Któryś z pracowników się tam zakradł i upił albo miały w domu włamywacza. Obie wersje nie wróżyły nic dobrego.

– Poczekaj tu – zarządziła starsza.

Sama chwyciła za klamkę i powolutku zaczęła uchylać drzwi. Kiedy szczelina była wystarczająca, aby wsunąć przez nią głowę, zajrzała do środka. Mroczne pomieszczenie oświetlał tylko zielonkawy blask zanikającej powoli zorzy. Tyle wystarczyło, żeby dostrzec opartą o półkę z winami postać. W jej dłoni spoczywał zielony kryształ. Poza tym śpiącą kobietę otaczało pięć pustych butelek. Jedną z nich musiała niechcący trącić, czym ściągnęła na siebie uwagę siostr. Brzdęk jednak nie był w stanie wyrwać jej ze snu. To pocieszało Sephorę. Wysunęła głowę i zwróciła się do siostry.

– Biegnij do twierdzy karatorów – poleciła. – Powiedz, że mamy w piwnicy złodzieja. To prawdopodobnie koks, więc powinni przygotować się na atak z dużą siłą. Szybko! Ja przypilnuję drzwi.

Mila zgodnie z życzeniem siostry czym prędzej pobiegła po pomoc, a biegała bardzo szybko jak na brązowooką. Tymczasem Sephora oparła się o drzwi i przez dłuższą chwilę usiłowała wymyślić, co zrobić z nieproszonym gościem. Niemądrze byłoby pozwolić kobiecie uciec po tym, jak uszczupliła

winne zbiory ojca. Równie nieodpowiedzialnie było jednak stawać w szranki z koksem, jeśli było się diamentowym dziedzicem bez diamentu do dyspozycji. Rozwaga podpowiadała, by pozostać za drzwiami, jednak Sephora czuła, że musi zajrzeć do środka. Co by się stało, gdyby złodziejka zauważyła niebezpieczeństwo i uciekła przez okno?

Dziewczyna odepchnęła się od drzwi i pobiegła do głównej izby. Chwyciła pogrzebacz, który leżał przy kominku, i wróciła na swój posterunek. Niemal bezszelestnie otworzyła drzwi i wsunęła najpierw stopę, a później resztę ciała. Starła się zachowywać ostrożnie, choć wcześniejsze doświadczenia pokazywały, że nie tak łatwo obudzić rudą ze snu. Zgodnie z oczekiwaniami intruz wciąż leżał w tej samej pozycji, w jakiej widziała go poprzednio.

Powolutku zrobiła dwa kroki po drewnianych schodkach. Starła się, jak mogła, ale stare drewno w końcu ugięło się pod jej ciężarem i zaskrzypiało. Sephora zamarła w połowie ruchu i zacisnęła zęby. Wlepiła wzrok w śpiącą postać, ale ta zdawała się być głucha na jakiegokolwiek odgłosy. Jej klatka piersiowa się poruszała, więc musiała żyć.

Sephora wyciągnęła przed siebie pogrzebacz i ostrożnie podeszła do włamywaczki. Nachyliła się, wciąż intensywnie wypatrując jakiegokolwiek ruchu, po czym chwyciła szybko szmaragd i odskoczyła. Ruda w dalszym ciągu się nie poruszyła. Bez kamienia traciła swoją przewagę, więc Sephora poczuła się odrobinę mniej zagrożona.

Zważyła kamień w dłoni i poczuła delikatne pieczenie. Nie była zielonooką, więc kontakt ze szmaragdem wywołał w jej organizmie nieprzyjemne skurcze. Wsunęła go do kieszeni i pomyślała o tym, jak dobrze byłoby móc kiedyś dotknąć diamentu. Każdy kamiennokrwisty, który choć raz poczuł swój kamień szlachetny, opisywał to doświadczenie jako mocno

ekstazy. Wielka szkoda, że diamentów nikt nie widział już od lat i Sephora mogła jedynie marzyć o przeżyciu czegoś równie intensywnego. Na samą myśl o kontakcie z diamentem poczuła jednak odrobinę spokoju ducha. Niestety właśnie przez to przestała uważać, gdzie stawia kroki, i wycofując się, potrąciła półkę z winami. Butelki zabrzęczały, a ruda natychmiast otworzyła oczy.

– Co do...? Ty! Nie ruszaj się.

– Witam w posiadłości Narajanów. Nazywam się Sephora i jestem córką naczelnego rzeźnika Altin. – Ukłoniła się grzecznie. – Znam wszystkich kamiennokrwistych z okolicy, ale milady jakoś nie kojarzę. Komu ukradłaś szmaragd?!

– Po co te nerwy, platynko? Przecież obie wiemy, że nie zdążysz nikomu przekazać tej informacji.

– Ani się waż mnie tknąć! – Sephora wystawiła przed siebie pograbacz.

– No już, już... bo jeszcze niechcący zrobisz sobie krzywdę. – Salamandra przewróciła oczami i powoli podniosła się z posadzki. Wyciągnęła dłonie do góry, przeciągnęła się i ziewnęła. Zamrugała kilkakrotnie. Przestraszone dziewczę wciąż przed nią stało. Miała wielką nadzieję, że to tylko zwidy. Wciąż jeszcze kręciło jej się w głowie. Tym razem był to jednak efekt wypitego wina, a nie bólu. W nocy przedobrzyła tak bardzo, że komar, który napił się jej krwi, chwilę później zatoczył kilka kółek, upadł na ziemię i zaczął pisać list do swojej byłej.

– Nie dam ci uciec – zapewniała Sephora. Pewnie nie zdawała sobie sprawy, jak żałośnie wygląda w oczach przeciwniczki.

– I tym masz zamiar mnie powstrzymać? – Salamandra prychnęła i skrzyżowała ręce na piersi.

Córka rzeźnika uznała to za idealną okazję do ataku. Zamachnęła się i trafiła wprost w wyciągniętą dłoń kobiety, która zdawała się od dłuższej chwili oczekiwać ciosu dokładnie w to miejsce. Niemal ponownie nie ziewnęła na potwierdzenie narastającego znużenia. Jednym szarpnięciem wyrwała pogrzebacz, a dziewczę zostało bez żadnej broni. Niczym spłoszona sarenka uciekło za półkę z winami.

– Słuchaj, platynko, nie mam nastroju na zabawy. Oddaj mi kamień i niech to spotkanie pozostanie naszą słodką tajemnicą. Co by powiedział tatuś, gdyby znalazł cię w winiarni o tej porze?

– Pogratulowałby mi. Tak samo, jak ja nie lubi złodziei, którzy podpijają jego wino.

– Kochanie, ono nie było aż tak dobre, żeby ktoś musiał za nie umierać. Winiarnie w południowym Deltern... o tak, za ich trunki mogłabym umrzeć. Chociaż zależy od winnicy. Znam jednego gospodarza, który...

– Nie rozproszysz mnie, złodziejko! – Sephora chwyciła jedną z butelek i stuknęła nią w półkę. Miała nadzieję rozbić szkło i w ten sposób zdobyć nową broń. Uderzyła jednak zbyt mocno. Szkło rozpadło się w jej dłoniach, poraniło skórę i ubrudziło fartuch bordowym płynem.

– A kto tu mówi o rozpraszaniu? Cholera, ostatnio nikt nie daje mi dokończyć opowieści. A może dowiedziałabyś się czegoś ciekawego, głupia sikso? – Salamandra czuła, że puszcza jej nerwy. Głowa ją bolała, a żołądek przypominał o zbliżającej się porze śniadania. Ostatnie, czego potrzebowała, to rozwyrzone małolaty, które próbowały narzucać jej swoją wolę.

Trąciła półkę i butelki zaczęły zjeżdżać wprost na Sephorę. Jedna po drugiej uderzały o kamienną posadzkę. Dziewczyna skuliła się i wybiegła spod winnego gradobicia wprost na Salamandrę. Ruda chwyciła ją za ramiona i potrząsnęła.

– Oddaj kamień, pókim dobra.

Sephora kopnęła ją w piszczel i rzuciła się pędem do drzwi. Nim dobiegła do schodów, Salamandra wyciągnęła bicz i jego koniec przesunął się po gardle Sephory. Miała na tyle wprawy, żeby delikatnie ją podduszać, ale jednocześnie nie skręcić karku.

– Moja cierpliwość się skończyła – warknęła. Podeszła bliżej i złapała dziewczynę za włosy.

– Nieee! – krzyknęła przerażona Mila. Z impetem otworzyła drzwi, a za nią wbiegł cały oddział karatorów.

– Cholera... – Salamandra westchnęła. Wiedziała, że tej walki nie da rady wygrać, więc szybko schowała bicz.

Kapitan oddziału posłał na dół czterech ludzi, którzy mieli ją obezwładnić, ale Salamandra dobrowolnie puściła dziewczynę. Wyciągnęła dłonie przed siebie i spokojnie czekała, aż ją skują.

– Wystarczająco się postaraliśmy, misiaczku? – zapytał dumny kapitan.

Wciąż mówił przez nos, a to bawiło Salamandrę. Karatorzy kojarzyli jej się z doświadczonymi wojownikami, a nie z zakatarzonymi podlotkami.

– Gdyby nie młoda, tym razem też moglibyście pocałować się w... nos.

Ollin zignorował jej zachowanie. To prawda, przy pierwszym spotkaniu nie popisał się zdolnościami. Nie był najlepszy w walce mieczem. Źle go

chwycił i dał się wytrącić z równowagi, ale to nie znaczyło, że złodziejka miała prawo z niego kpić. Machnął na podwładnego, by odprowadził pojmaną. Sam z kolei podszedł do bohaterki całej akcji.

Sephora dość dobrze знаła kapitana karatorów. Niejednokrotnie widywała go na przyjęciach kamiennokrwistych. Zwykle ubierał wtedy biały mundur, w którym nie można było odmówić mu uroku. Miał piękne niebieskie oczy i majestatyczną, kwadratową szczękę. Przez ubytki w miejscach, które powinny zdobić mięśnie, prezentował się jak niedorobiony heros. Sprawiał wrażenie, jakby mógł go powalić podmuch wiatru, choć pochłaniał takie ilości jedzenia, że w stołówce powinien już zajmować co najmniej dwa krzesła. Stał za to na straży porządku Altin, co czyniło z niego jedną z najlepszych partii w mieście. Niejednokrotnie okazywał Sephorze oznaki zainteresowania, jednak ona uparcie je ignorowała. Może dlatego, że poza statusem społecznym chłopak nie miał wielu zalet. W dodatku cierpiał na chroniczny katar. Wiecznie pociągał nosem i wycierał smarki w rękaw, jak tylko nikt nie patrzył.

Wyrwał się przed oddział i pomógł Sephorze wstać. Nim zdążył zaoferować eskortę do komnat, Mila odepchnęła go i chwyciła siostrę w ramiona.

– I ty się martwisz o moje wyjścia? Głupia! Po co tu wchodziłaś?

– Nie mogłam dopuścić, żeby uciekła i skrzywdziła kogoś po drodze. Zwłaszcza gdyby miała trafić na ciebie. Zawsze cię obronię, siostrzyczko. – Sephora sięgnęła do kieszeni fartuszka i wyciągnęła szmaragd. Oczy wszystkich karatorów skupiły się na jej dłoni. – Miała to przy sobie – powiedziała beznamiętnie do Ollina. – Musiała go ukraść. W Altin tylko w rodzinach Dridów i Braverów byli zielonoocy. Sprawdźcie, proszę, czy ktoś z nich nie stracił ostatnio swojego klejnotu.

– Żaden z rodów nie przetrzymuje szmaragdów. To zabronione. Jednak upewnię się, zgodnie z twoim życzeniem – zapewnił. – Czy jest jeszcze coś, co mogę dla ciebie zrobić?

– Nie. Dziękuję za interwencję, Ollinie. Teraz muszę zająć się śniadaniem. Te hałasy na pewno zbudziły ojca, a wszyscy wiedzą, że bywa nieprzyjemny, kiedy jest głodny. – Uśmiechnęła się grzecznie i wytarła dłonie o fartuszek. Przeszła obok mężczyzny bez większego zainteresowania, ale ten chwycił ją za ramię.

– Sephoro! – Odwrócił ją w swoją stronę. – Czy zdajesz sobie sprawę, kogo złapałaś?

– Złodziejkę.

– Nie byle jaką. To Czerwona Salamandra – wytłumaczył. Dziewczyna wzruszyła ramionami, a Ollin schylił się do jej ucha i ściszył głos. – Powiadają, że uciekła nawet z Otchłani, a z Cieniem piła wino i grała w karty.

– Nie wino, tylko bimber. Mocarny jak sam Cień – poprawiła Salamandra. Uśmiechnęła się zadziornie i spojrzała dziewczynie w oczy. – Jeszcze się spotkamy – zapewniła i odeszła wraz z całym oddziałem karatorów obserwujących każdy jej ruch.

To nie dla Ciebie?

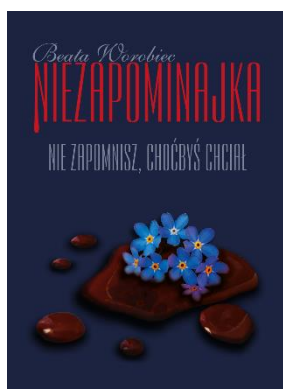
Też nie problem! Co wolisz?



KOMEDIE! *Najlepiej o kocie.*

„Nie odwracaj kota ogonem”

Baśka miała fajny biust, Ania styl, a Zośka... Zośka miała czarnego wilczura, który nocą kładł jej się na nogach i chrapał. Nie miała za to szczęścia w miłości, a im bliżej trzydziestki była, tym bardziej marzyła, żeby nieśli jej tę cholerną suknię z welonem i żeby cyganie czekali z muzyką. Rozmyślała o swoim „długo i szczęśliwie”. Aż do pierwszego trupa. Trupem tym okazał się Kocio — irytujący kot sąsiadki, który przysposobienie odziedziczył



KRYMINAŁ! *Byle miał mocne zakończenie.*

„Niezapominajka”

W mieście grasuje seryjny morderca. Morduje 4 kwietnia każdego roku, a później odmierza równe 32 dni i morduje ponownie. Jego ofiary różnią się od siebie wszystkim. Łączy je jedynie mały bukietek niezapominajek pozostawiony przy ciele. Dziś jest 5 kwietnia. Wczoraj odnaleziono piąte z kolei ciało. Zaczęło się odliczanie i nikt nie może czuć się bezpieczny...



ROMANS! *Ale z perspektywy mężczyzny.*

„Nie dla Ciebie”

Wiesz, że to nie jest grzeczny facet. Myślisz, że dla Ciebie się zmieni. Chcesz podejść bliżej, poznać go. To tylko jedna z pułapek, w którą właśnie wpadłaś. Nie daj się zwieść! To nie jest facet dla Ciebie. Nareszcie możesz wejść do jego głowy i zobaczyć, jak on widzi świat. To urywek życia uwodziciela, który ma na wyciągnięcie ręki każdą kobietę, ale tylko dwie zawładnęły jego sercem. Kobiety różne jak ogień i woda. Dawid będzie musiał zdecydować, co jest dla niego ważniejsze. Uroda, czy charakter?



EROTYK! *Tylko nie jakiś płytki.*

„Zamek z popiołu”

"Ten, kto powiedział, że do tanga trzeba dwojga, z pewnością nie tańczył w trójkę" — te słowa zatrzęsły światem Anety. Zdruzgotana po śmierci swojego ukochanego, wpada w ramiona dwóch czarujących mężczyzn, którzy pomagają jej oderwać myśli. Bawi się świetnie do momentu, kiedy znajduje u nich swój wiersz. Wiersz, którego właścicielem był jej martwy ukochany. Czy Aneta wdała się w romans z mordercą? A jeśli tak, to który z nich zabił?

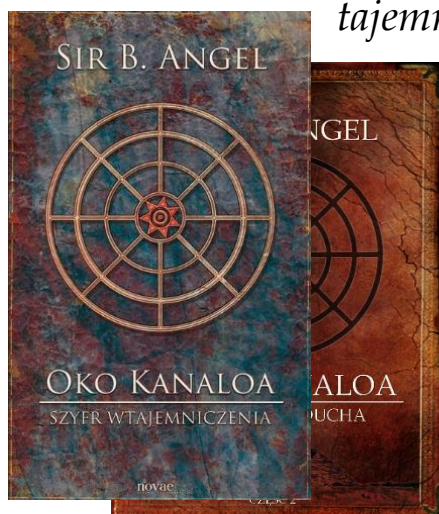


OBYCZAJÓWKĘ! *Ale taką prawdziwą.*

„Prefekt”

To historia każdego z nas. Opowieść o wrażliwym człowieku, którego zniszczył brutalny świat. Ludzie tacy jak Piotr są wszędzie wokół. Spotkasz go w pracy i miniesz na ulicy. Wydaje się taki przebojowy i atrakcyjny. Jego oczy uśmiechają się do Ciebie, ale gdzieś w głębi duszy czujesz, że coś jest nie tak. On skrywa w sobie jakieś straszne rzeczy... nienawidzi, a nienawiść daje mu siłę do życia.

COŚ PRZYGODOWEGO! *Z młodzieżą, podróżami i tajemnicami. Trylogia „Oko Kanaloa”*



Czy wiesz, że poza znanym nam księżycem istnieje jeszcze jeden naturalny satelita Ziemi? Czarny Księżyc jest widoczny raz na sto lat - nie bez powodu. To właśnie na nim ukrywają się demony. A kto zdobędzie władzę nad demonami, będzie o krok od władzy nad światem. Oko Kanaloa to opowieść o młodej dziewczynie, która przypadkiem wpada na ślad tajemniczego stowarzyszenia. Chcąc dogłębnie poznać organizację, wchodzi w jej szeregi i dowiadyuje się o istnieniu istot, które dotąd знаła jedynie z bajek. Vis Maior (Siła Wyższa) okazuje się być tajnym bractwem, które ma na celu

utrzymać świat w błogiej nieświadomości o zagrożeniu ze strony istot magicznych. Jego antagonistą, Neftyda (Czarny Księżyc) w tym czasie próbuje dostać się do siedziska demonów i uwolnić je.

WCIĄŻ NIE TO?

*No trudno, wszystkim nie dogodzę. Może chociaż
spodobają Ci się moje życiowe rozkminy na
beatapisze.pl ;)*